

Oddech

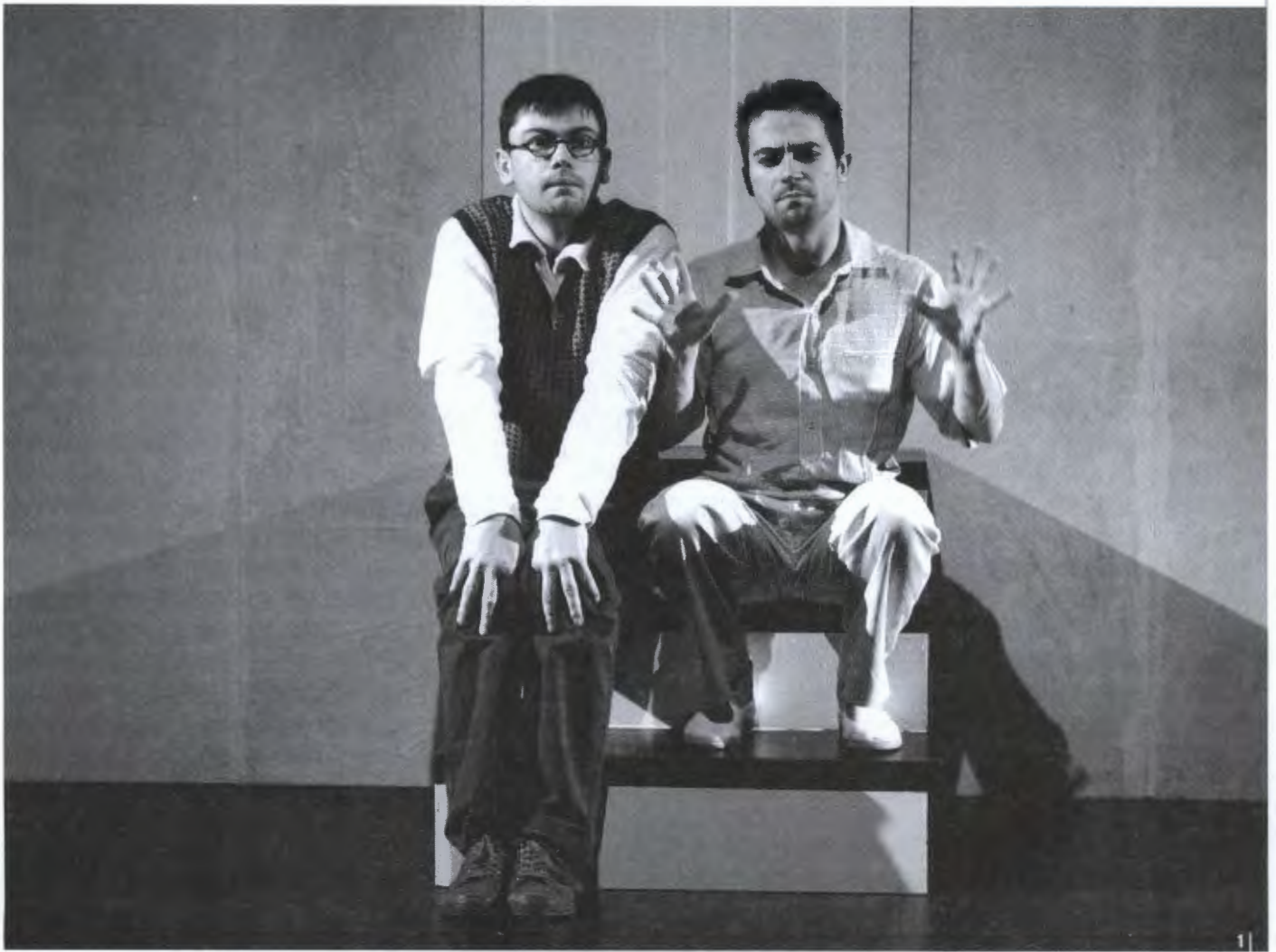
Agnieszka Glińska ✓

Muzyka jest oddechem przedstawienia. Determinuje rytm, steruje napięciem, tworzy przestrzeń, buduje nastrój, nierzadko daje cudzysłów. Zdarza się, że muzyką można wyrazić niewyraźne, dotknąć emocji, których nie przekaże się w samych tylko słowach czy obrazach.

Muzyka w moich przedstawieniach powstaje równolegle z tworzeniem scenicznego świata. Kompozytorzy, z którymi pracuję, są współtwórcami i współautorami tej rzeczywistości – biorą udział w całym procesie, od rozmów jeszcze przed pierwszą próbą, poprzez etap rozważań stolikowych, pogaduszek i dyskusji, aż do mozolnej układanki i poszukiwań na scenie. Od naznaczenia muzycznego obszaru po lekturze tekstu, wspólnego słuchania moich inspiracji i skojarzeń, przez pierwsze próbki i przymiarki do utworów (lubię, gdy pojawiają się one na próbach czytanych – chętnie zasiewam aktorom w głowach tematy i motywy muzyczne), wreszcie po powolne zestrajanie elementów.

Lubię muzykę graną w spektaklach na żywo. Oczywiście, nie zawsze jest powód do takiego jej użycia, czasem jest powód, ale ograniczeniem są fundusze, niemniej jednak żywy plan muzyczny nadaje przedstawieniu szczególny charakter. Z dialogu między muzykami a aktorami, w tym słuchaniu się i wzajemnym oddziaływaniu tu i teraz, tworzy się jakość jedyna i niepowtarzalna. Każde przedstawienie jest wyjątkowe.

Z gotowych, napisanych już utworów korzystam rzadko i raczej niechętnie, głównie wtedy, gdy autor wpisał jakieś konkretne tytuły, a ja w pełni słyszę i rozumiem cel i sens tego zabiegu. Trudno na przykład byłoby mi sobie wyobrazić „Tango” Sławomira Mrożka bez „La Cumparcity”. Ale wtedy uważnie i wnikliwie myślę o aranżacji i wykonaniu. Pracowałam wielokrotnie,



zwłaszcza w Teatrze Telewizji, z Anią Malarowską – wybitną specjalistką od tzw. oprawy muzycznej. Ilustrowanie sztuki istniejącymi, gotowymi utworami wymaga nie lada odwagi, uwagi i świadomości. Ania ma wybitne ucho i wyczucie – to ona uświadomiła mi, ile dodatkowych znaczeń niesie wykorzystanie znanego motywu, jak bardzo można scenę wzbogacić, ale i jak łatwo można ją zepsuć nieumiejętnie dobraną muzyką. Nasza wspólna praca zaowocowała bliską znajomością, by nie rzec przyjaźnią. A jej opinia, rady i wskazówki, co do muzycznej oprawy czy to filmu, czy przedstawienia, są dla mnie bezcenne.

Kompozytorzy, których zapraszam do pracy w teatrze, nie mają ze mną lekko. Zmuszam ich do słuchania piosenek i utworów, które czasem bardzo dalekim skojarzeniem bląkają się po mojej głowie, czasem są skazani na to, że jakieś kawałki nucę im lub śpiewam. W poszukiwaniu charakteru i nastroju muzycznej warstwy spektaklu oglądamy razem filmy, w nieskończoność omawiamy poszczególne sceny i partyturę dramaturgiczną sztuki, żeby znaleźć wspólny język, w jakim stworzona przez nich muzy-

ka miałaby rysować napięcia, rozkładamy akcenty. Po takim rozhuśtaniu wyobraźni i określeniu przestrzeni, w jakiej się poruszamy, zostawiam im całkowicie wolną rękę. Odtąd niecierpliwie i z olbrzymią ciekawością czekam na fragmenty, które napiszą. Ale nie ponaglam i nie pospieszam – wiem, że wszystko ma swój czas. Wierzę, że pojawią się dźwięki najlepsze z możli-

Muzyka powstaje równolegle z tworzeniem świata scenicznego.

Kompozytorzy biorą udział w całym procesie – od rozmów jeszcze przed pierwszą próbą.

wych i cieszę się jak dziecko z każdego utworu, który powstaje. Potem razem słuchamy, przymierzamy, wybieramy, planujemy, ustalamy, gdzie i czego jeszcze brak.

W takim rodzaju współpracy najważniejsze są podobny gust i zaufanie. I przekonanie, że gramy do jednej bramki. Raz jeden, dawno temu, muzyka pojawiła się po raz pierwszy na pierwszej generalnej. Nie było

co zbierać. Spektakl i muzyka nie współgrały w najmniejszym stopniu, co gorsza – kompromitowały się nawzajem. Nastąpiło przykre rozczarowanie i rozstanie. W konsekwencji, z Anią, zaufanym „oprawcą muzycznym”, dobrałyśmy – dość panicznie – najniezbędniejsze dźwięki do spektaklu, ale sytuacja była naprawdę niezwykle trudna.

Praca w teatrze jest dla mnie, mówię o tym zawsze wielkimi literami, zabawą w spełnianie marzeń. Takim podejściem staram się zarazić aktorów – jasne, że mózół i wysiłek są nieodłącznym elementem takiej zabawy, ale najważniejsza jest radość szukania. Bez niej nie chce mi się po prostu bawić. Mam wielkie szczęście spotykać ludzi, którzy chcą o tym całym procesie tworzenia myśleć podobnie jak ja. Wspaniałych kompozytorów, genialnych muzyków, fantastyczne osobowości. Często o wyborze tej a nie innej osoby decyduje przypadek: Jan-ka Duszyńskiego spotkałam w sklepie, aku-

11 | Od lewej: Robert T. Majewski (Ojciec), Marcin Hycnar (Katurian); „Poduszyciel” Martina McDonagha, reż. Agnieszka Glińska, muz. Jan Duszyński, Teatr Narodowy w Warszawie (2006); fot. Stefan Okołowicz / Archiwum Artystyczne Teatru Narodowego



co zbierać. Spektakl i muzyka nie współgrały w najmniejszym stopniu, co gorsza – kompromitowały się nawzajem. Nastąpiło przykre rozczarowanie i rozstanie. W konsekwencji, z Anią, zaufanym „oprawcą muzycznym”, dobrałyśmy – dość panicznie – najniezbędniejsze dźwięki do spektaklu, ale sytuacja była naprawdę niezwykle trudna.

Praca w teatrze jest dla mnie, mówię o tym zawsze wielkimi literami, zabawą w spełnianie marzeń. Takim podejściem staram się zarazić aktorów – jasne, że mozół i wysiłek są nieodłącznym elementem takiej zabawy, ale najważniejsza jest radość szukania. Bez niej nie chce mi się po prostu bawić. Mam wielkie szczęście spotykać ludzi, którzy chcą o tym całym procesie tworzenia myśleć podobnie jak ja. Wspaniałych kompozytorów, genialnych muzyków, fantastyczne osobowości. Często o wyborze tej a nie innej osoby decyduje przypadek: Jan-ka Duszyńskiego spotkałam w sklepie, aku-

1 | Od lewej: Robert T. Majewski (Ojciec), Marcin Hycnar (Katurian); „Poduszyciel” Martina McDonagha, reż. Agnieszka Glińska, muz. Jan Duszyński, Teatr Narodowy w Warszawie (2006); fot. Stefan Okołowicz / Archiwum Artystyczne Teatru Narodowego